

Po wyjściu z kina

Nie sposób obejrzeć wszystkiego, nie tylko dlatego, że w tym samym czasie wyświetlanych jest kilka filmów, a oprócz tego równolegle dzieją się inne wydarzenia, w których również warto byłoby wziąć udział (zakładam oczywiście, że cały swój czas w ciągu doby – w przerwę na sen i posiłek – oddajemy festiwalowi). Nie wszyscy też są w stanie oglądać „ciurkiem” trzy, cztery, pięć tytułów każdego dnia, chcąc dać sobie szansę na pełniejsze przeżycie, przemyślenie, przetrawienie tego, co właśnie zobaczyli. Trzeba czasem wyjść z kina, by przewietrzyć umysł. Tym bardziej jeśli filmy opowiadają o ważnych problemach współczesnego świata, o dramatycznych losach, dylematach i skomplikowanym życiu podobnych nam ludzi.

Zacznijmy od ważnego dla Łodzi amerykańskiego filmu „Znajdę cię” w reżyserii Marthy Coolidge, wyświetlonego podczas uroczystego otwarcia Transatlantyku. Historia romantycznej miłości Rachel Rubin i Roberta Pułaskiego, którzy uczą się w szkole muzycznej w Łodzi, nosi wszelkie znamiona produkcji spreparowanej wedle hollywoodzkiej recepty na kino popularne – wielkie uczucie wystawione na próbę w nieludzkich czasach II wojny światowej. Już sam tytuł oryginalny „Music, War and Love” zapowiada, czego można się spodziewać. Trzeba jednak przyznać, że recepta się sprawdziła. Choć buntujemy się, widząc uproszczenia, schematyzm, łopatologię, niewiarygodność wielu sytuacji, po policzkach płyną nam łzy wzruszenia. Główną przyczyną mojej kapitulacji była wielka muzyka. Nie mam tu na myśli dzieła Jana A.P. Kaczmarska, który jest autorem muzyki oryginalnej do tego filmu (nie mam jej też nic do zarzucenia). Chodzi o wpisaną w akcję muzykę Richarda Wagnera – wspaniałą i jednocześnie skażoną tym, że służy budowaniu mitu hitlerowskiej Rzeszy. Dramaturgia świetnie wykonanej arii z „Tristana i Izoldy” dźwiga pocztówkową sztuczność do rangi prawdziwych emocji, a piękno i miłość zwyciężają grozę. Tej roli muzyki dobrze przysłużyło się niezłe aktorstwo Leo Sutera, Stellana Skarsgård, Connie Nielsen i Jacka Braciaka jako komendanta obozu Auschwitz. To dzięki jego kreacji (jest na ekranie w kilku scenach) widzowie mogą poczuć dreszcz przerażenia i zobaczyć, że wcielenie zła ma w oku łzę wzruszenia.

Poza wszystkim film Marthy Coolidge jest też świetną wizytówką łódzkich plenerów. Połowa akcji dzieje się na ulicach Łodzi (a także we wnętrzach), a przy tym obiekty zdjęciowe na ekranie prezentują się efektownie.

Jakże innym doświadczeniem było obejrzenie brazylijskiego filmu Karima Aïnouza „Niewidoczne życie sióstr Gusmão”, którego akcja toczy się w latach 50. XX wieku w Rio De Janeiro. Wkraczamy w świat intymnych relacji między dwiema bliskimi sobie kobietami – Eurídice i Guidą. Ten związek dusz nabiera poetyckiej niemal lekkości, kiedy siostry zostają rozdzielone na skutek dramatycznych wydarzeń. Jednocześnie jest skonfrontowany z twardym, okrutnym życiem, którym rządzą prawa ustanowione przez mężczyzn. Kamera, a wraz nią widz, podchodzi naprawdę blisko. Obraz przepojony jest fizycznością, cielesnością, jakby w kontraście do niematerialności emocji, ambicji i marzeń. Ale to ciało jest prawdziwe, instynkt jest realny. Z uczuciami bywa różnie. Karim Aïnouz pokazuje, że mimo wszystko miłość, więź, pozytywne odruchy czasem dochodzą do głosu, przewyciężając wpływ brutalnego i bezlitosnego świata. W równym stopniu jak obraz uwodzą widza kreacje aktorskie. Carol Duarte i Júlia Stockler (w rolach głównych) są przejmująco autentyczne i zmysłowe, potrafią się zatracić w swoich bohaterkach. Obie świetnie sportretowały toczące się w szczególnym momencie życia zmaganie osobistych dążeń, poczucia niezależności młodych kobiet z krępującym porządkiem społecznym, który przydziela kobietom z góry określone role.

Współczesną dramatyczną opowieścią o niezaspokojonej potrzebie miłości dziewięcioletniej

dziewczynki jest debiutancki film Nory Fingscheidt „Błąd systemu”. Benni jest dzieckiem dotkniętym syndromem wczesnej przemocy (była maltretowana jako niemowlę). Łatwo wpada w gniew, dostaje napadów szału, mieszka w domach dziecka i ośrodkach opiekuńczych, nigdzie nie może zagrzać miejsca i cały czas marzy, by móc wrócić do mamy. Długo po obejrzeniu tego filmu zastanawiałem się, gdzie, zdaniem reżyserki, tkwi ów błąd. Z perspektywy polskiej rzeczywistości system działa zupełnie nieźle – dzieci w Niemczech mają do dyspozycji małe, zadbane placówki i opiekunów pełnych życzliwości i anielskiej wręcz cierpliwości. Los dziecka jest przedmiotem namysłu sporej grupy ludzi, którzy starają się zaangażować do współpracy rodziców i respektują ich prawa. Podpowiedź stanowi anglojęzyczna wersja tytułu „System Crasher”. Benni rozwała system, bo domaga się bezwarunkowej miłości, oddania i akceptacji. Ale Benni jest jak tykająca bomba, która w każdej chwili może wybuchnąć i siać spustoszenie. Nie mogą dać jej miłości opiekunowie, bo uczuciowe zaangażowanie jest nieprofesjonalne. Matka, która nie do końca radzi sobie z własnym życiem, pozbyła się ciężaru, oddając Benni państwu, choć przecież kocha ją tak samo jak dwójkę swoich młodszych dzieci. Dużo w tym filmie wrzasku, złych emocji i brutalności, ale z drugiej strony nie mniej troski, pozytywnych gestów, ciepła i dobrych chęci. Benni miota się jak ptak w klatce oszalały z cierpienia. Sytuacja wydaje się beznadziejna. Błąd został popełniony dawno – w tym systemie ktoś jest w stanie wyrządzić całkowicie bezbronnej istocie straszną krzywdę.

Relacje rodzinne eksploruje również belgijski film „Wyścig” w reżyserii Kennetha Merckena, choć opowiada o karierze młodego kolarza. Temat tego pełnometrażowego debiutu autor zaczerpnął z własnego życia. Sam bowiem był kolarzem jeżdżącym w półprofesjonalnej grupie, aż pewnego dnia doznał olśnienia, rzucił sport i rozpoczął studia w szkole filmowej. „Wyścig” to dla Merckena także okazja do „przepracowania” własnych relacji z ojcem. Bohater filmu Felix (Niels Willaerts) kształtuje się pod wpływem despotycznego ojca, dla którego kolarstwo jest jak religia – w jego życiu liczy się tylko zwycięstwo w wyścigu. Syna traktuje jak emanację własnej osoby i przerzuca na niego swoje pragnienia i ambicje. Jeśli ciało nie może sprostać wymaganiom, trzeba je podkręcić sztucznie, biorąc środki dopingowe, hormon wzrostu albo przetaczając krew. Mercken opisuje bezwzględny i zepsuty świat kolarstwa pierwszej dekady XX wieku, który zna z własnego doświadczenia. Tak działo się w sporcie półprofesjonalnym, to co robili zawodowcy. Mimo że do dziś przetoczyły się wielkie kolarskie afery dopingowe, przeżyliśmy wyznanie winy Lance’a Armstronga, niektóre sceny „Wyścigu” nadal szokują swoją drastycznością. A film Merckena każe się zastanowić, czym jest to uczucie sportowego tryumfu, że ludzie są skłonni poświęcić dla niego wszystko, ryzykując zdrowie, a nawet życie.

Bogdan Sobieszek